



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Zaduszki tegoroczne wypadły w deszcz i słotę; w dniu Wszystkich Świętych wszystkimi upustami lało się z nieba, a nazajutrz szare mgły i chmury wlokły się po firmamencie; smutno i żalobno było nad ziemią, w atmosferze—jak w sercach i w pamięci tych, którzy z wieńcem i światłami pośpieszyli na ukochane groby.

Co roku o tej porze wydaje mi się, że wraz z ludźmi natura obchodzi jakieś ementalne święto i że po dniu zadusznym grzebie w pośpiechu resztki kwiatów zwiedłych i liści ostatki strąca z obnażonych gałęzi; już jakby i jesień skończona, a zamiast niej, zimowe zaczęły się szarugi.

Lada chwila Północ mrozem dmuchnie i ani się czulek spostrzeże, jak pewnego poranku przetarłszy oczy, zobaczy przez okno dachy nagle śniegiem ubielone i szyby szronem okryte.

Nasz klimat ma coś z naszego usposobienia i charakteru, ma jako główną cechę niestałość, nagłe przejścia, najmniej spodziewane, krańcowe zmiany gorąca i zimna, wśród melancholijnej szarugi sangwinciczne przeblyski pogody, gwałtowne opadanie temperatury i ni ztąd, ni zowąd kapryśne jej podskoki.

Więcej też pozwala liczyć na zimę, niż na gorące lato, którego długotrwałym zapalom nigdy bardzo dowierzać nie można...

Mógłbym to porównanie rozwijać dalej i przykładami popierać, ale nie mam ochoty, zamiast kroniki dwutygodniowej, pisać stylistycznego ćwiczenia na zadany temat.

Filantropia, czujna na pierwsze hasła zimy, zajmuje u nas najważniejsze posterunki i ze zdwojo-

ną gorliwością zabiera się do spełniania swoich obowiązków.

Z początkiem bieżącego miesiąca otwarto tedy znowu tanie jadłodajnie dla ubogiej ludności, w których za 3 kop. głodni mogą pożywić się łyżką gorącej strawy i kromką świeżego chleba.

Miłosierdzie rozwiązuje swą kiesę i coraz pełniejszą garścią czerpie z niej w imię miłości bliźniego.

Słyszałem już o kilku wcale znacznych ofiarach na żywienie biedaków, którzy z nastaniem zimy stracili sposobność zarobku i zmiłowania Bożego wyczekiwać muszą.

Powiedział jeden z poetów, że „dobrzy ludzie, są prawicą Opatrzności“, bo służą za pośredników między niebem a ziemią i spełniają dzieła, które za cuda starczą.

Ale ci dobrzy ludzie coraz cięższe mają zadanie i coraz więcej do roboty i niezawsze wszystkiemu podołać mogą, a tembardziej u nas, gdzie stało się zasadą, że na robienie dobrze, na wspomaganie biednych, na popieranie szlachetnych celów—ogół nadał wygodny dla siebie przywilej... pewnym wybranym jednostkom; na nie zwraca oczy, gdy trzeba coś zrobić, do nich się wprost odnosi, gdy trzeba coś ofiarować, do nich przypija głównie, gdy wytyka brak ofiarności, poczucia obowiązków i marnotrawstwo grosza na własne, zamiast dawania go na cudze potrzeby.

Powiedziano wprawdzie, że od tych, co więcej mają, więcej też będzie wymaganiem, ale nie wiem, czy stosowało się to tylko w znaczeniu materyjalnym, w stosunku do zamożności i posiadania dóbr ziemskich, które, niestety, coraz więcej okazują się wielką „marnością tego świata“.

Spółczeństwa nie mogą stać jednostkami, najbardziej nawet wyjątkowymi, poświęcającami się za wszystkich, pracującami nad siły, ale muszą objawiać swą energią, żywotność, pracę i ofiarność w miarę możliwości i środków w zbiorowej summie, na którą cały ogół się składa.

Sodome i Gomorę chciał Jehowa ocalić dla dziesięciu sprawiedliwych, ale miał to być szczególniejszy akt łaski Boskiej i wyjątkowego miłosierdzia, z którego nie można wyciągać wniosków takich np. że całe miasta lub całe społeczeństwa mogą unikać zagłady, gdy mają choćby dziesięć razy więcej wyjątkowych osobistości i to z jednej przeważnie warstwy społecznej.

Zadaleko zaprowadziłby mnie ten temat, który właśnie nasunął mi się pod pióro ubocznie, w chwili, gdy chciałem zanotować smutny fakt, iż przytulki noclegowe, które około 40.000 biedaków bez dachu w ciągu zimy dawały ciepły kąpiel i miejsce, gdzieby syny człowiecze mogli głowę złożyć, nie zostały w tym roku jeszcze otwarte z bardzo prostej przyczyny, bo zbrakło funduszy na urządzenie takich przytułków.

A jednak, gdyby solidarność w dobrych uczynkach i ofiarność mogła być idealną, potrzebaby tylko, aby wszyscy mieszkańcy Warszawy zobowiązali się w ciągu jednego dnia złożyć po jednej tylko kopiejce na ów cel i już zebrałaby się summa, wynosząca przeszło 4.000 rs., za którą przez całą zimę mieliby gdzie sypiać i posilać się gorącą na noc herbatą tłumy rozbitków losu, drżących pod gołym niebem od zimna na miejskim bruku.

Pomyślcie, dwa grosze jałmużny, a ile zasługi, ile zadowolenia ze spełnionego uczynku; jaki łatwy, szybki i skuteczny środek!... potrzebaby tyl jednej małej rzeczy: aby je wszyscy złożyć chcieli bez wyjątku i poczuli się do tego filantropijnego obowiązku...

Wiem, że projekt ten jest utopią, i że go poważnie stawiać nie można, ale wiem i to, że gdyby go postawili Czesi lub Węgrzy, pomimo swego nieprawdopodobieństwa w wykonaniu, — udałby się u nich z pewnością, bo narody te mają w swym charakterze to właśnie, czego brak naszemu ogółowi.

W jaskrawym kontraście z niemożnością zebrania funduszy na otwarcie przytułków noclegowych stanął świetny rezultat pieniężny koncertu słynnej śpiewaczki Pauliny Lucci, dany w zeszłym tygodniu w sali ratuszowej.

Po opłaceniu wszystkich kosztów i oddaniu szóstą częśći teatrowi primadonna zabrała z sobą okrągłych 2.000 rs. za kilka ary i piosnek odśpiewanych z estrady!

Pani Lucca jest artystką niepospolitą, wyjątkowym głosem, temperamentem i talentem obdarzona; zachwycała się jej śpiewem Europa i Ameryka, ale zachwycała przez lat przeszło trzydzieści, rzucano jej pod nogi góry kwiatów i stopy złota; sztywny i zimny Berlin wraz z ks. Bismarckiem szalał za nią i entuzjastycznie się; na łonie jej, jak na piersiach walecznych weteranów lub mężów wielkiej zasługi błyszczą orderami—niezaprzeczenie pani Lucca jest europejską artystką, tylko do nas wybrała się pod koniec swojej kariery, ze szkołą znakomitą, ale z głosem nie świeżym, zakonserwowanym wybornie, lecz noszącym już ślady zużycia;—tylko wszędzie śpiewała na scenie, na której jedynie jej talent wokalny z dramatycznym w parze mógł zabłysnąć w całym blasku, a u nas poprzestała na koncertowej estradzie przy akkompaniamencie fortepianu—tylko... za te pieniądze warto ją było słuchać lat temu dwadzieścia w operze, a choćby przed dziewięćmiu w partyi Carmen, która należała do najświetniejszych jej popisów, ale nie w małych wyjątkach z oper, pozbawionych właściwego charakteru bez orkiestry i scenicznego efektu całości.

Za krzesło w pierwszych rzędach płacono po rs. 6, za miejsca numerowane na galeryę po półtrzecia.

To za słono, nawet, dla smakoszy w muzyce.

Już to wogóle najwyżej i najdrożej umięją się cenić dzisiaj gwiazdy operowe, którym się zdaje, że każdy cal na nich wysadzany jest brylantami.

Słynny Masini, słynny z głosu, szczęścia u kobiet i romansu z Adeliną Patti, miał tę czelność zażądać w Madrycie 15.000 franków od wieczoru, gwarancyi za dwadzieścia pięć przedstawień i połowy przypadającej za nie summy z góry.

Jedno z pism humorystycznych w Hiszpanii zrobiło złośliwą uwagę, że należałoby ogłosić składkę narodową na opłacenie włoskiego tenora, jeżeli się chce mieć zaszczyt słyszenia go ze sceny stolicy.

Jeden z najpopularniejszych autorów, nietylko francuzkich, ale europejskich wogóle, zmarły przed dwoma tygodniami Emil Augier, musiał poprzestawać na 30.000 fr. rocznego dochodu za czterdzieści lat pracy i twórczości; to znaczy: miał akuratnie tyle, ile Masini cenił sobie swój śpiew przez dwa wieczory.

Po autorze „Bezczelnych“ i „Rodziny Fourchambault“, zostaną dzieła fundamentalne w repertoarze każdej wielkiej lub małej sceny, zostanie w literaturze poważny ślad i pełna karta pisarskich i społecznych zasług, zostanie uszlachetniający wpływ dobrego i zacnego człowieka, który geniuszem swoim oddziaływał na serca i umysły całych pokoleń, karcąc występki i wytykając wady swojemu społeczeństwu; po pięknym tenorze nic nie zostanie, oprócz wspomnienia wysokich tonów i aksamitnego głosu, który rozmarzał kobiety i elektryzował mężczyzn, zostanie nazwisko w rocznikach opery, puste, głuche, nie mówiące do potomnych.

A jednak, oileż drożej bohater chwili każe opłacać sobie swą sławę i rozgłos, swój talent wykonawczy i swój organ wyjątkowy, chociaż przelotnie tylko sprawia nim wrażenie!

Co to za szczęście w nieszczęściu, że nasi domorośli śpiewacy nie mają nadzwyczajnych głosów i nie mogą się drożyć ze swoim śpiewem: nie mielibyśmy wcale opery, chociaż co prawda, nie bardzo ją mamy w dzisiejszych warunkach.

Nad operą warszawską zawisł miecz Damoklesa; maluczko, a oprócz chórów nie będziemy mieli kompletu lepszych solistów, których niema kim zastąpić z powodzeniem. Dyrekcja stara się wypełniać nadszczerbione kadry siłami włoskimi; sprowadzono trójcę artystów, z których jeden

tylko p. Wulman, Rzymianin z germańskim nazwiskiem, na ten tytuł prawdziwie zasługuje.

Primadonna, pn. Litta, przypomina nieograniczonego instrument o bardzo pięknym, ale niewyrobnym głosie; umie bardzo mało, a właściwie wszystkiego jeszcze uczyć się powinna, jest dopiero materyałem surowym, który zawczasem wyzyskiwać zaczęto.

Tenor, p. Maino, należy do rzędu śpiewaków przyzwoitych, nieszczególnych, użytecznych tam, gdzie lepszych niema, ale na gościnne występy osobliwość żadna.

Publiczność zbiera się też nielicznie na nieśmiertelne w naszym repertoarze opery, które umie chyba na pamięć, a którym wyjątkowo przyciągającej siły nie mogą nadać śpiewacy *minorum gentium*, zamało budzący interesu.

Najslusniejszą też radę daje teatrowi Wł. Bogusławski w „Gazecie Polskiej“, którego poważne zdanie w kwestyach sztuki i sceny godne jest zawsze uwagi; powiada on, iż kwestya opery w Warszawie zawiera się w dwóch *desideratach*:

1) Odświeżenie repertoaru nowymi dziełami, przedstawianymi przy pomocy wzmocnionych i zreorganizowanych sił miejscowych, co stanowiłoby codzienną strawę publiczności;

2) Odmłodzenie repertoaru starszego występami *pojedynczych* śpiewaków zagranicznych, o tyle dobrych, żeby mogli obudzić zainteresowanie słuchaczy *od święta*, wymagających od obcego artysty czegoś więcej, aniżeli mu swój dać może.

Powodzenie, którem się cieszyły z jednej strony takie opery, jak „Carmen“, jak „Manon Lescaut“, lub niedawno wystawiona „Niema z Portici“, z drugiej popularność artystów tej wartości, co Negri i Aramburo, są, jak mi się zdaje, wymownym poparciem takiego na operę poglądu publiczności warszawskiej.

Tylko że z tem wystawianiem nowości w operze idzie u nas, jak po grudzie. Dwa lata słyszeliśmy, że „Królowa Saba“ wybiera się na naszą scenę i już, już ma przybyć ze swoim orszakiem, ale ciągle jej coś przeszkadza i „Królowa“ okazuje się najnieślowniejszą Guzdralską, w której przybycie chyba sama reżyserya nawet przestała wierzyć.

Zwłaszcza teraz, kiedy dyrektorowi Rzebiczkowi coś się stało w Pradze przy wykonywaniu własnej symfonii i ani rusz do zdrowia wrócić nie może od swego powrotu do Warszawy, a teraz, jak słyszę, na dłuższy czas musiał wyjechać leczyć się zagranicę.

W chwili, gdy to piszę, przygotowuje się dla ciekawej naszej publiczności widowisko wspanialsze od wystawy „Królowej Saby“; kończą się w Muzeum rolniczo - przemysłowe roboty około urządzania wystawy starożytności z dziedziny sztuki stosowanej od najdawniejszych wieków po dzień dzisiejszy.

Wszędobylska reporterya zapowiada niebywałe cuda; mnogość zabytków archeologii objawia się w całych stadach białych kruków. Przetrzebiono najwspanialsze zbiory prywatne i publiczne, pościągano wszystko, co można było znaleźć najcenniejszego u naszych kolekcjonistów, starożytników, artystów i t. d.

Komitet wystawowy zyskał energicznego przewodnika w osobie ks. Michała Radziwiłła, który wziął tę sprawę na ambit i chce w Warszawie pokazać, co można zdziałać przy dobrej woli i niezamordowanych usiłowaniu.

Powtarzam pogłoski tymczasowe: wystawa ma być świetną, tak wyjątkowo zajmującą, że warto będzie dla jej obejrzenia przyjeżdżać nawet z zagranicy.

Jeden pozór więcej do odwiedzenia Warszawy w początku zimy.

Zapraszamy.

Być może, że wystawa sztuki stosowniej przyczyni się do spełnienia projektu, który z braku należytego poparcia, niedawno temu zaniechanym został przez zdolnego rzeźbiarza i modelatora, p. Kryńskiego: artysta ten, doświadczony w swoim zawodzie, jeden z najkompetentniejszych w danym kierunku, zamierzał otworzyć szkołę w Warszawie, w którejby pod jego kierunkiem kształcili się uczniowie i uczennice w przedmiotach sztuki stosowanej do przemysłu.

Zakład taki miałby u nas poważne znaczenie, rozwijałby dobry smak i wprowadzał estetykę na drogę praktycznej twórczości. Pan Kryński dał niejednokrotnie dowody, że dobrze pojmuje swoje zadanie, a jako wykonawca i nauczyciel mógłby oddać niemałe przysługi artystycznemu rękodzielnictwu. Cóż z tego! Plan był gotowy, lokal wynajęty, ale w końcu rzecz się rozchwiała — „z braku spodziewanego poparcia“, jak głoszą lakoniczne wzmianki o nieudalym projekcie.

Sądzę, że przeszkody, które napotkał projektodawca, nie przziły go do tego stopnia, aby zupełnie miał porzucić swoją myśl, a mam nadzieję, że ta myśl dobra i pozytywna, tyle razy dyskutowana, tyle razy uznana za bardzo ważną i w swoim urzeczywistnieniu obiecująca wielkie korzyści, nie pójdzie na marne, nie rozwieje się bez śladu.

Też-to prawdziwych i niepospolitych zdolności błąka się u nas i nie może natrafić na właściwą dla siebie drogę. Samej czystej sztuce z jej wysokimi ideałami, z jej wzniosłymi celami trudno się u nas poświęcać bez pewnego zaparcia się, zwłaszcza w początkach zawodu; z tej sztuki młody malarz lub rzeźbiarz nawet z wybitniejszym talentem nie utrzyma się w kraju.

Większość naszych artystów, gdyby nie znajdowała zbytu swoich dzieł zagranicą, musiałaby chyba zjadać własne obrazy lub gryźć surową glinę, co jak wiadomo stanowi bardzo niestrawne i ryzykowne pożywienie.

Wszystkie te średnie zdolności dałyby się wszelako praktycznie zużytkować w pośrednim kierunku sztuki. Publiczność nasza ma już estetyczne poczucie komfortu, lubi piękne graciki, ozdobne sprzęty, dekoracyjne malatury, nabywa je w magazynach i płaci nawet dość drogo za wyrób cudzoziemski. Można ją zatem przekonać, że taka gałąź przemysłu da się i u nas wyhodować, wytrzymując rywalizację z zagranicą na nasze domowe potrzeby, zwłaszcza gdyby przystępne ceny ułatwiały amatorom nabywanie rzeczy pięknych, ponętnych, a nie zbyt kosztownych.

Ta kwestya ma jeszcze jedną stronę dodatnią, dla której zasługiwałaby na szczególniejsze uwzględnienie i poparcie: oto sztuka stosowana do przemysłu mogłaby u nas, tak, jak gdzieindziej, stanowić bardzo dogodny zawód dla kobiet i wytworzyć dla uzdolnionych i chętnych do pracy źródło właściwego i nietrudnego zarobku.

Wzmianka powyższa o kwestyi kobiecej, która tak powoli z dziedziny teoretycznych rozpraw przechodzi na grunt praktyczny w naszym społeczeństwie, przypomina mi p. Lucynę Cwierczakiewiczową i jej odczyt wygłoszony w Krakowie na temat bardzo żywoty i nigdy nie przedawniały: najpopularniejsza nasza mistrzyni sztuki kulinarnej mówiła o „społecznym stanowisku kobiety, jako gospodyni.“

Jeden z najprozaiczniejszych napozór obowiązków zaszczerpiła prelegentka w sercu niewiasty i dowodziła, że kobieta-zona, która potrafi wytworzyć dookoła siebie atmosferę dobrego gustu, dobrego odżywiania, ustawicznej pieczołowitości o rodzinę, zdobędzie najwyższe w swoim zakresie stanowisko, bo wpływające ze spełnienia obowiązków przyrodzonych i obywatelskich. Zalecała też pani C. swoim słuchaczkom nabywanie wiedzy przez pracę, dalej — oszczędność, zapobiegliwość i pewną samodzielność w kierunku wytwórczym.

W dalszym ciągu odczytu swego dotknęła bardzo żywoty kwestyi, traktowanej tak często z uprzedzeniem przez nasze damy, i wykazywała, iż nauka gospodarstwa, oraz samo gospodarowanie nie sprzeciwia się najwykwintniejszemu wykształceniu ogólnemu; wiele znakomych autorek było dobrymi gospodyniami i znało się również dobrze na kuchni, jak na literaturze.

Nie wiem, czy szanowna prelegentka przekonała pod tym względem swoje słuchaczki, ale radbym, aby tak było.

Nie twierdzą, aby smaczny rosół i krucha sztuka mięsa była główną podstawą szczęścia ludzkiego i harmonii małżeńskiej, ale nie zaprzeczam też, aby przydymiona zupa i łykowata pieczeń

nie przyczyniały się do zaburzania tej harmonii domowej nawet przy największej pobłażliwości mężowskiego serca i żołądka.

Ponieważ zaś trudno wymagać, aby każda Penelopa sama stała przy ognisku domowym, prozaicznie kuchnią zwanem, przeto rola kucharki w rodzinie i społeczeństwie odgrywa rolę nie tak ważną wprawdzie, aby warto było wygłaszać o niej drugi odczyt, stanowi jednak temat godny kronikarskiej wzmianki.

I z tego względu podnoszę z uznaniem praktyczny pomysł p. Karoliny Temlerowej, przewodniczącej III-ciej szwalni dla ubogich dziewcząt, która krótkim a energicznym zachodem rozwiązała na małą skalę kwestyą szkoły kucharskiej, urządziwszy wręcz szwalni, wzorowo prowadzonej, praktyczne lekcje sztuki kulinarnej.

Oto codziennie małe szwaczki pod kierunkiem zdolnego kuchmistrza uczą się gotowania i wszystkich czynności z kucharstwem związanych.

Czy to nie prosty a bardzo dobry pomysł?...

Ta kombinacja igły z patelnią, garnka z tamburkiem do haftowania okaże się, przedewszystkiem nader praktyczną dla uczennic, którym samo życie nie zapewnia dzisiaj tak łatwego chleba.

Jedno zaś z drugim połączone przyda się prędkiej, i opłacić się może, i pożytek przyniesie czy przyszłej słudze, czy też gospodyni na własnych śmieciach.

Na zakończenie mojej kroniki muszę zanotować pogłoskę, której sprawdzenie się byłoby bardzo pożądanem: wyczytałem w pismach wiadomość, iż w Warszawie organizuje się klub gymnastyków.

Podobno wygotowano już między „siłaczami“ naszymi projekt ustawy takiego stowarzyszenia i niebawem mają być rozpoczęte kroki o zatwierdzenie jej przez władzę.

Członkowie tego klubu mają uprawiać sport, głównie rozwijający siłę masykularną przez gymnastykę, boxowanie, szermierkę i t. p. ćwiczenia cielesne.

Wybornie; oto chodzi właśnie, ażeby nabrać jak najwięcej zdrowia fizycznego i wykształcać się na tężyznę. Dr. Just w „Kuryerze Codziennym“ napisał właśnie o tem uwagi godny artykuł, zachęcający do fizycznego wykształcenia na równi z umysłowym, a „Gazeta Warszawska“ z powodu zaprowadzania obecnie obowiązkowej (chwała Bogu...) nauki gymnastyki w szkołach zamieściła bardzo zdrowy pogląd na tę kwestyą. Chodzi jej o „pauzy“, podczas których uczniowie obarczani lekcjami uzupełniali w szkole swoje zadania klasowe, o ile im na to czasu w domu nie starczyło, obecnie te pauzy zużytkowane być mają na ćwiczenia gymnastyczne. Z tego względu pisze też Nestorka naszej prasy codziennej: „Gdy ze skróceniem pauz umniejszą się możność polatania domowych niedoborów w przygotowaniu się do lekcji, pożądanem byłoby i pewne zmniejszenie skali wymagań, któreby pozwoliło uczniowi przy dotychczasowym nakładzie pracy domowej utrzymać się na zdobytym poziomie w opinii szkolnej, a nawet podnieść się moralnie“.

Kwestya umysłowego przeciążania dzieci i pewne reformy pedagogicznego programu nauk należą dziś do spraw, wymagających dyskusyi, ale o tem pomówimy chyba innym razem.

Quis.

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd—Kepieński.

(Dalszy ciąg).

— Dziękuję, stokroć dziękuję — szepnął podstolic cichutko, jakby się lękał spłoszyć urocze zjawisko.

— Czy lepiej wam, panie podstolicu? — spytała Jadwiga ze współczuciem.

— O lepiej, dobrze teraz, dobrze — szepnął ranny, przymykając oczy, i chociaż całą siłą z osłabieniem walczył, zasnął nanowo snem twardym. — Tym udziałem młodości, — gdy po przebytej burzy pragnie odzyskać utracone siły.

Były to pierwsze słowa, jakie przemówiło do siebie dwoje nieznajomych ludzi, których losy miała poplątać ze sobą niezbadana przyszłość. Zaraz od początku, kiedy przywieziono rannych, podzieliła pułkownikowa ich na dwa oddziały: pierwszy, do którego liczył się podstolic, przeznaczyła dla siebie i panny Jadwigi, drugi zaś, z panem starościcem spławskim, oddała pod pieczę Ratułtowej i panny Góreckiej, gdy zaś pułkownikowa obok innych zajęć miała mało czasu, wyręczała ją starościanka przy rannych prawie bezustannie. Tym sposobem, ile razy przetarł oczy Druźbic, widział zawsze Jadwigę przy sobie albo poczciwego Piotrka, który przy drzwiach w kącie wpatrywał się ze smutkiem w wybladłą twarz pana, a kiedy spostrzegł wzrok jego na sobie, przestępował z nogi na nogę i uśmiechał się, wyszczerzając zdrowe, białe zęby.

Zbliżenie się między Druźbicem a piękną Jadwigą w tak smutnych warunkach poczęło się od owej poufałości siostrzanej, zapowiadającej trwałe na przyszłość stosunki: z jednej strony wdzięczność podstolica i urok Dzierżkówny, z drugiej zaś współczucie i litość dla rannego biedaka były najczystszyimi czynnikami, które stworzyły wzajemną sympatyę. Później już, kiedy podstolic powracał do zdrowia i podniósł się z łoża, uczucie to krzepło, potężniało, rosło — ale nie zmieniło się bynajmniej w samej swej istocie. W rozmowach bezwiednie w sobie zakochanej pary, w jej obejściu, w wejrzeniach bojaźliwych, skromnych, nie odbijała się namiętność żadna, ale jakieś nieokreślone uczucie potrzeby obcowania z sobą, wzajemnych wynurzeń, wymiany myśli, słów albo młodocianych rojeń. Rozmawiał Druźbic z Jadwigą i ona pojmowała jego bez wyznań wzajemnych, a chociaż napozór mówili o rzeczach zwykłych, obojętnych, to przecież miłość umie i do takich rozmów wcisnąć swoje wonie i pewne tajemnicze słowa. Kochali się młodzi, nie śmiać przyznać się przed sobą, a kochali się tak szczerze, gorąco, że już jedno bez drugiego ani żyć, ani innego życia rozumieć nie mogło. Ale Jędrus nie dowierzał szczęściu; on marzył tylko o starościanki przyjaźni i życzliwości siostrzanej. I stało się, co się zwykle w takich razach dzieje: oboje, codopiero uszczknawszy pierwiosnek wielkiego uczucia, wstydlivi i skromni, bali się obopólnych wynurzeń. Druźbicowi zdała się taka odpowiedź bezprzykładnem zuchwalstwem; Jadwiga, związana dziewiczą skromnością, nie wiedziała, jak wyjść z błędnego koła swych uczuć i myśli. A przecież czuli to oboje, że chwila tak ważna w ich życiu musi nastąpić czy wcześniej czy później. I nadeszła istotnie, a jak bywa zazwyczaj, przyszła niespodzianie.

Druźbic odbywał zwykłą przechadzkę, mierząc powolnym krokiem aleję grabową. Jadwiga wybiegła zbierać po kłobach kwiaty, których jeszcze nie zwarzyły chłodne poranki jesienne: zobaczywszy swego pacjenta, podeszła ku niemu, zapytując o zdrowie i radząc, aby nie nadużywał fatygi i ruchu.

Usiedli na ławce jacyś zamyśleni, smutni.

Miało się ku wieczorowi; blaski jesiennego słońca zanurzały się zwolna w szarawej zmroku oponie, tonęły w niej kłoby kwiatów i grupy drzew, ciche, senne, nieporuszone najbliższym wietrzykiem. Zdała dochodziły jakieś dziwne jęki, jakgdyby kwilił strumień, co się wił w zygzałki dokoła ogrodu. Druźbic opowiadał towarzysze swoją tajemniczą przeszłość, swoje sieroctwo, brak serca matki, której pieczętot nie zasnął lub też nie pamiętał; mówił, że przy całej dobroci swoich opiekunów, nie potrafili mu oni zastąpić tego rodzinnego ciepła, którego tak bardzo pożywał — nie zdołali ukoić tęsknoty, co nieraz szarpała mu piersi.

Jadwiga słuchała, polykając łzy, które się jej gwałtownie cisnęły do oczu, chociaż jej twarzyczkę rozpromieniał uśmiech, niby promień światła

ny, który się przebija przez mgliste osłony. I nie wiedzieć, czy ten wieczór taki uroczy i smętny, czy ta pełna czaru cisza, czy obecność wreszcie ukochanej, nastroiły podstolica tak dziwnie i rzeźwie, że się rozeszło po jego żyłach uczucie nieznanego szczęścia, wyższego nad wszelką rozkosz. Jadwiga, spuszczać oczy na kwiaty, wspomniła półgłosem, że już chłód się wzmaga, że godzina późna. Powstali więc z ławki i szli ku pokojom. Druźbic, odprowadziwszy swoją towarzyszkę, ucałował jej drobną rączkę na „dobra noc“, zatrzymując ją bezwiednie w dłoni, dłużej niż zwyczajnie. Nie broniono mu tego, nie wyrwano jej; owszem, uczył coś, jak ciepły i serdeczny uścisk; serce mu biło jak młotem; słów brakło, aby tłómaczyć się z uczuć — podniósł na starościankę błagające oczy:

— Pani, oh pani — szepnął — daruj mnie biednemu, ale nie wiesz, co się ze mną dzieje. Kocham cię nad wyraz, nad życie, które bez ciebie stanie się męczarnią, i kiedy pomyślę, żeś dla mnie życzliwą, to zda mi się, że śnię tylko i boję się zbudzić do rzeczywistości.

— Dlaczegoż snem tylko chcesz to mieć podstolic? Niechaj ten sen dla ciebie przejdzie w rzeczywistość — zarumieniona odrzekła Jadwiga.

Druźbic chciał przykleknąć, wyciągając rękę; starościanka, uściskawszy ją, przycisnęła do bijącej piersi i szepnąwszy „dobra noc, do jutra“, niby senne zjawisko zniknęła w alei. Szczęśliwy Jacek szedł, jak pijany, do swego pokoju; zdało mu się, że się dusza z niego wyrwała i gdzieś leciała ku niebu, że jakaś siła nieznaną rwie go gdzieś i niesie, że w tej jednej chwili zmieniła się cała jego istność. Oh, bo miłość wzajemna między dwójkiem młodych jest niesłychanie potężnym uczuciem; pod jej wpływem odbywa się zupełne przekształcenie ducha, pod jej wpływem przeobraża się człowiek w jakąś wyższą i szlachetniejszą kreację; ona, spadając jak płomień z niebios, przepala ziemską powłokę i tworzy ze zwiększonego śmiertelnika jakąś istotę wyższą, niemającą nic wspólnego z ziemią. I czemuż w życiu i na świecie, chwile pogodne są tak krótko trwałe a po nich zawsze następują burze? czemu za jasnością słońca chmury tuż się wloką, zasłaniając jego promienie świetlane czarną płachtą nocy? czemu po szczypcie radości, następuje ogrom smutku?

Kiedy podstolic wrócił do pokoju, zrobiła się na dobre ciemnica na świecie.

Nie wiedzieć z kąd zerwał się orkan szalony, pojawiły się nagle czarne chmury w grubych ciężkich płatach, a pędzone wichrem przewalały się po niebiosach, niby obrzymie potwory; księżyc w pełni, o bladej twarzy z szeroko rozwartymi oczyma, zeglował zwolna po stropie niebieskim, a malejąc wciąż, krył się poza chmury, zostawiając ziemię w nieprzedartej ciemnicy; czasem tylko, kiedy przed jego twarzą wiatr chmury potargał, rzucał blask błady na drzemiące bory i trawy poźółkle. Nareszcie ściągnęły się chmury, znikło księżycowe światło, noc czarna, niby kir żałobny, chwyciła ziemię w objęcia i już nie widać nie było, — wszędzie panowała nieprzebita ciemność.

Podstolic stał, patrząc przez okno; nagle przejął go jakiś lęk dziecienny, jakaś tajemnicza groza, wstrząsł się cały dreszczem pod wpływem złych przeczuć, a w tej chwili doszedł jego uszu szcęk oręża i tętent cwałujących koni.

*

*

*

Marek Nieczuja Dzierżek był swego czasu tympem szlachcica pieniacza. Prócz własnego majątku Zagórza i Górny koło Sokołowa, starosta gajowski zwał się prócz tego Starostą Dzierżkowskim, ale *in partibus in fidelium* tylko, na mocy bowiem donacyi Augusta III posiadał to starostwo Franciszek Baranowski wraz ze swoją małżonką. Chociaż prawo posiadania stało jak mur pewne i ani błysku nadziei nie było, aby mogli starostwo Dzierżkowie odzyskać, chociaż sądy podkomorskie a później radomski trybunał Baranowski przysądziły sprawę a wszystka palestrą odwracała się tyłem od pana starosty, zacięty

szlachcic nie dał za wygraną. Idąc „na uwziętkę“ dobrał sobie słynnego krętacza Macieja Hubkę, mecenasa z Radomia, i dalejże w proces *de noviter repertis*. Było się też o co processować, bo oprócz dochodów z samego starostwa należały do niego: Dzierzków, Wola Gołembowska, Gliniec, Lubzina i inne wioski, leżące niemal przy samym Radomiu.

Znana jest namiętność pieniacka dawnego szlachcica, dla której gotów był wszystko poświęcić, byle na swoim postawić. Opanowany przez Hubkę nadzieją wygranej, zapomniał Dzierzek o obowiązkach, jakie po śmierci żony miał względem swej córki, zapomniał o gospodarstwie, które upadało, a poświęcając wszystkie dochody, jakie mógł wyciągnąć, na zbieranie dowodów i aktów, włóczył się ciągle po grodach, archiwach, zasięgał rady różnych kauzypierdów, którzy, widząc zapamiętałość starosty, łudzili go wygraną, aby najdłużej ciągnąć z niego zyski. Trwało to lat kilka, kiedy nareszcie wybuchnęła wojna i każdy myślał o własnej obronie, a nie o processach; doradzczy starosty, widząc, że jego worek chory na suchoty, poczęli go po jednym odstępować z wolna. Pierwszym był Hubka, który, miarkując zawczasu, że już nic więcej zarobić się nie da, porzucił cały proces pod pozorem ważnych spraw publicznych. Leciwy pan Marek prócz swego pieniacka nie był złym człowiekiem, a kiedy mu brakło doradców, zapomniał o sprawie a przypomniał sobie obowiązki względem jedynaczki. Po długiej włóczędce wróciwszy do domu, zastał gospodarstwo w najwyższym rozstroju: wszystko upadło z kretelem, pola nieobsiane, podstarości, uciekając niby do związkowych, zabrał całą stajnię, służba bez dozoru wałała się w karczmie, a biedna Jadwisia ze swoją ochmistrzynią płakały dni całe, modląc się i wzywając ratunku Bożego. Zgryzł się i zafrasował starosta niewypowiedzianie; ale że pomimo leciwego wieku był to człowiek rzutny, wzięwszy więc Boga na pomoc zawiązał się krzepko, aby złe naprawić. Rozpędziwszy dawną, przyjął nową służbę, zaprowadził rygor wojskowy, co mu nie przyszło z trudnością, bo był w dawniejszych czasach officerem gwardyi, a że dosiadywał w domu i pracy pilnował, weszło więc gospodarstwo w należyte karby. Najgorzej było z Jadwisią, wyrastającą wprawdzie na śliczną panienkę, ale której wychowanie było zaniebane, bo od śmierci matki jedyną jej opiekunką była pokrewna Dzierzków, stara sędzianka Olaszewska, kobiecina zacna, bogobojna bardzo i kochająca Jadwisię nad wszystko, ale na wychowawczynią niemająca żadnych kwalifikacyi. Uczyła wprawdzie dziewczynkę na książce do nabożeństwa czytać, uczyła stawiać kulawe litery, uczyła robót ręcznych, które sama dzierżała z rzadką misternością, ale o jakimś wykształceniu wyższem, o językach obcych, o polozie jakimś, mowy tu nie było. Jadwisia chodziła jak kozak, ruchy miała ciężkie, obejście się szorstkie, zwyczajnie jak dziewczyna w domu wychowana i niewidząca ludzi z wyższej sfery. Przeszła się starosta, gdy się ułożeniu córki począł przypatrywać, tem więcej, że jako officer gwardyi konnej koronnej był obytym w świecie, znał salony magnackie w Dreźnie i w Warszawie, ba, nawet królewskie nie były mu obce. W takim frasunku zastał pana Marka pułkownik Górecki, który mieszkając o mil kilka od Zagorza, przyjechał odwiedzić dawnego kamrata. Zwierzył mu się starosta ze swoim strapieniem.

— A już też—odrzekł, śmiejąc się, pułkownik—prawda to być musi, że ludzie często, nie mając zgryzoty, sami ją sobie skomponować muszą. Nie chwalebę się ja, żeby kobiety w Dzikowcu dorównywały tym tam warszawskim imościom, ale zda mi się, że się nie powstydzą choćby i w Puławach.

— A mój Karolu—bąknął starosta, nie zrozumiawszy mowy pułkownika — tem bardziej mi to na sercu dolega, że ta dzika koza mówić-by nawet z Marysią nie mogła, — bo-by nie umiała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Słoneczne strony życia.

(Dalszy ciąg).

Nietyle wielkie boleści, wielkie straty i gromy losu, ile codzienne dolegliwości, codzienne udręczenia burzą nam szczęście i czynią życie ludzkie smutnem — pełnem trosk i doświadczeń. Jest mnóstwo rzeczy, w gruncie błahych, które niemniej mogą nam truć życie i zasępić ducha. Można by je usunąć z drogi swojej łatwo, bez nadzwyczajnych ofiar i wysiłków, jednak nie czyni się tego, i ileż-to jest ludzi, ile rodzin, mogących żyć wesoło i szczęśliwie, których istnienie jest zatrute przez fałszywy pogląd na świat i ludzi, przez niezgodę i zły humor, przez urojenia i kapryśne pożądanja tego, co osiągnąć jest w ich położeniu niemożliwością, a co wreszcie nie zawiera w sobie nic mogącego nazywać się szczęściem—nic uszczęśliwiającego rzeczywiście.

Małe wady unieszczęśliwiają więcej ludzi, niż wielkie zbrodnie; nietyle trosk spada na nas przez zrzadzenie losu, ile sprowadzamy ich sobie sami z tego powodu przez kaprys, przez chimerę i dręcząc się silniej, niżby to uczynił kat najokrutniejszy. La Bruyère zamknął wielką prawdę w smutnym sarkazmie, że jedna połowa ludzi żyje dla tego, aby dręczyć drugą, i Goethe, który był głębokim myślicielem i znawcą człowieka, napisał, że człowiek „po wszystkie wieki wieki siadł przed siebie próżność, aby zbierał rozpacz.“

Przewidywanie złego lekliwe, trwoga przed złem, która jest tchórzowstwem ducha, niejednokrotnie zło to na nas sprowadza, bo czyż nie jest zamknięty w niej akt abdykacyi szczęścia? Jeremiasz, oplakujący zawczasu upadek Jerozolimy przedstawia smutny obraz poddania się nieszczęściu, zanim jeszcze przyszło i uderzyło w nas. Z nieszczęściem spodziewanem trzeba przede wszystkim walczyć i nie dopuszczać go — drogę dostępu do nas zagradzać mu: tak czynią ludzie mężni, którzy jedynie szczęśliwymi być mogą na ziemi, gdzie jest pełno okoliczności mogących stać się nieszczęściem. Od tego-to dana nam jest wiara i nadzieja: siły uświęcające człowieka, które nie pozwalają mu przystać na niedolę, zanim niedola ta zapanuje nad nami zwycięzko. Uzbrajają one do walki z nieszczęściem i są zwykle cechą miłości. „Miłość mocną jest jak śmierć“... woła Apostoł i jest to jedna z najwyższych prawd chrześcijaństwa—miłość, która gdy jest prawdziwą i głęboką „wszystko chce i wszystko może.“

Rozpacz zabija ducha. Nie dopuszczając do siebie trwogi przed nieszczęściem, jeszcze niepełnionem, zachowujemy siły na tę ciężką chwilę, gdy już przyjdzie — gdy już uderzy! Niezadowolone z tego, co mamy, każe nam cierpieć tak samo, jakgdybyśmy nie posiadali nic, i miał słuszność ten Grek, który powiedział, że „kto nie umie czuć się zadowolonym z rzeczy małej, nie będzie nigdy zadowolonym z niczego“, bo gdzie jest granica, któraby wyznaczała człowiekowi to, co jest dla niego „dosyć“? Więcej nad to, co potrzebować możemy rzeczywiście, jest ciężarem dla tego, który to posiada“ powiedział jeszcze Seneka, i jest tak niezawodnie. Zadajemy sobie mnóstwo trudów, prac i zachodów dla rzeczy niepotrzebnych nam rzeczywiście i dlatego braknie nam ich nieraz wtedy i na tych pozycjach życia, gdzie obowiązek każe je mieć. Bakon nie mylił się też, utrzymując, że im suknia człowieka jest dłuższą, tem skrzydła jego ducha krótsze“ i nie mogące też unieść go wysoko. Marek Aureliusz twierdził, że nietyle jest dla nas złem nieszczęście samo, ile nieumiejętność znoszenia go dobrze. Gniew nasz na los, uniesienie namiętne na to, że nas dotknął cierpieniem, cierpienie to podwaja jedynie; jątrzy się ranę zamiast ją goić. Jest tak u samolubów zwłaszcza, którzy żądają dla siebie praw wyjątkowych i nie chcą przystać na to

spokojnie, że ich otrzymać nie mogą—że nie mogą być podniesieni nad trudy i boleści ludzkiego istnienia. I dlatego-to, aby się nie spotkać z nimi—aby nie doznać jakiegoś niedoboru przyjemności życia, życia wygod i rozkoszy, omijają obowiązek—zbiegają z jego posterunków.

Kto się na cierpienie namiętnie wzdryga — kto uważa szczęście stałe za przynależność swoją, ten właśnie i dlatego jest najmniej szczęśliwym: jest nieszczęśliwym najbardziej, najdotkliwiej.

Każdy, kto życie obserwować umie—każdy, kto się stykał bliżej z egoistami, uzna, że to spostrzeżenie Lubbocka jest doskonale prawdziwem i możnaby zwrócić się tu do matek, do tych wychowawczyń ludzkości, które mają w swoich rękach dusze młode, aby pomyślały o tem. Dziecko, które w czasie kształtowania się jego natury moralnej, nie pozna się z tą prawdą, że cierpienie jest nieuniknioną koniecznością istnienia naszego na ziemi, że jest często obowiązkiem, bo wiąże się z wypełnieniem obowiązku — to dziecko musi być w życiu ciężko nieszczęśliwą istotą, bo szamać się ono będzie z każdą życia pracą cięższą, z każdym obowiązkiem surowszym, któremu złożyć trzeba na ofiarę coś z używania pragnionych przyjemności, coś z pożądanego dobrobytu.

Natura wyposażyła nas hojną ręką w pierwiastki szczęścia, i trzeba tylko umieć korzystać z tego, co życie, pędzone prawidłowo, dać nam może. Autor cytuje tu Ruskina, który pisze: „Patrzec jak zboże rośnie, jak kwiat się rozwija; odetchnąć pełną pierśią po zaoraniu niwy swojej, po złożeniu motyki, która skopała tyle ziemi, ileśmy zamierzali sobie — czytać, myśleć, kochać, modlić się, toż to wszystko czyni ludzi szczęśliwymi...“

Jak przecież zachować sobie coś szczęścia wtedy nawet, gdy uderzą na nas próby losu? Autor odpowiada na to, cytując słowa człowieka, który dostał się w ręce złoczyńców i został przez nich zrabowany, Jeremiasza Taylora:—„Zostawili mi przecież słońce i księżyc, ogień i wodę, kochającą żonę i garstkę przyjaćiół, którzy będą współczuć ze mną, a z których niejednen zechce mi dopomóc; nie zabrali mi przytem czystego sumienia i dobrego humoru ludzi, którzy je posiadają — wesołego zadowolenia z siebie: a temu, kto posiada tyle żywołów szczęścia, i to nie małych, jest jeszcze lepiej w świecie, niż komuś, który, wobec takiej przygody, stchórzył-by i martwił się, stracił fantazyę i siadł w kącie, piastując swoją wiązkę cierni.“

Poetyczność — zdolność odczuwania piękna w otaczającym nas świecie i w duszach ludzkich, to ważny przyczynek do szczęścia, a takie szczęście czuć, takie pierwiastki uszczęśliwienia dla życia swego pozyskać może każdy, kto ma w sobie dane potemu — komu wyobraźnia rozszerza ciasny zakres istnienia między czterema ścianami jego domu, kto myślą sięga wyżej nad padół spraw codziennego życia, czyje przyjemności nie ograniczają się jedynie do użycia, do zadowolenia miłości własnej, do próżności i pychy. Tu angielski pisarz schodzi się bardzo blisko z pojęciem szczęścia Żmichowskiej, gdy ta woła:

Ludzie! ludzie, wy nie wiecie,
Że jest szczęście na tym świecie:
Patrzec w niebo, gonić okiem,
Za gwiazdeczką, za obłokiem,
Słuchać pieśni, którą śpiewa
Naszej duszy duch przyrody,
W głosie ptasząt, w szmerze wody,
W szeleszczących listkach drzewa.
I nawzajem wysnuć z siebie
Pieśń piękniejszą: pieśń marzenia
O aniołach i o niebie,
I w szlachetne uniesienia
Wybić wszystkie serca bicia,
I żyć pełnią swego życia.
Mieć za sobą lat niewiele,
Mieć przed sobą szczęścia wieki,
W sobie duszę, która śmieje
Daży w przyszłość—w kraj daleki...
W kraj piękności i swobody
Snem miłości, czucia, wiary.
Kochać, wierzyć, czuć bez miary,
Być kochaną, umrzeć młodą...

Ludzie, ludzie, czyż nie wiecie,
 że jest szczęście na tym świecie?...

Jest w tem wierszu wielkiej poetki naszej zebrane wszystko to, co angielski uczony uważa za żywoły szczęścia, aż do zdolności odczuwania piękna w przyrodzie,—co oboje zaliczają do przyczynków szczęścia niemałych, a na co Lubbock wielokrotnie nacisk kładzie, pisząc, że znajdują się tu „piękności, zdolne zachwycać każdy nasz zmysł, piękności, które mogą zadowolnić każdy smak: formy piękna najszlachetniejsze, najwdzięczniejsze: wszystkie barwy i wonie“ — harmonia piękna z siłą, kojącą w człowieku cierpienie, niosącą uciszenie łagodne tęsknot jego i żalów.

Obowiązkiem człowieka jest być szczęśliwym przez takie moce szczęścia: przez dobro i uczucie piękna czystego, bo wtedy nie przystąpi do niego zło: nie skalają go wybryki dzikich namiętności, w których nieraz szuka on uchrony przed bolesnym uczuciem próżni serca. Głód szczęścia popycha na manowce złego tych, którzy nie są zdolni znaleźć go w szlachetnym zadowoleniu uczuć dobrych i myśli podnioslejszych. Kto umie stać się szczęśliwym przez te strony istnienia, które są drogą życia prawą, jest jakoby zabezpieczony przed pokusami złego: używanie jego jest dobrem i to nazywa Lubbock szczęściem obowiązku: „The Happiness of Duty“. Nie należy nam przecież uważać spełniania powinności za służbę u ostrej i surowej ochmistrzyni. Nie: jest to raczej dobra i tkliwa matka, która broni nas przed troską i boleścią, wiedzie kroki nasze drogą spokoju i słodkiego zadowolenia.

Nie otrzyma tego nikt, kto, chcąc zdobyć sobie te dobra, wyosabnia się z pomiędzy ludzi, zamykając się w egoizmie. Życie nasze potrzebuje ciepła sympaty: trzeba nam czuć się ogrzany przez miłość ludzką, a tego nie zdobędzie sobie nikt darmo: trzeba coś ludziom dać, aby coś od nich wziąć. „Taki świat: kwiat za kwiat“... Nie też: żadne położenie w życiu, żadne wyniesienie umyślnie, czy cnoty nie zwalnia nas z tej zależności od bliźnich naszych. Trzeba sobie skarbić przyjaźń ludzką przez jej uczucie w sercu własnym i dlatego ludzie zimni nigdy kochanymi nie są—nigdy kochanymi być nie mogą. Czasem przecież ludzie zmęczeni życiem wyobrażają sobie szczęście pod postacią niezawisłości, niezależności zupełnej od ludzi. Być wolnym jak mucha w powietrzu, jak ryba w wodzie,—nie jest to bynajmniej szczęściem ludzkim, bo człowiek stworzonym jest do życia w żywole innym, a przytem życie, pędzone samolubnie w odłączeniu się od ludzi, nie jest bynajmniej ideałem wolności i niezależności. Człowiek staje się wtedy tyranem samego siebie. Opanowują go dziwactwa, a często i lichy namiętności, zależność od nawyknień, którym nikt w drogę nie wchodzi, których nikt i nic nie miesza nigdy, życie staje się niewolą, i to bardzo wielką; wielu ludzi, nawet wyższej natury, rozpijało się w samotności, wielu zawierało związki nierozzerwalne z osobami niższymi od nich jako umysł i serce, dawało się podbić i tyranizować istotom prostym i niedorównyującym im pod względem żadnym.

Ale żyć pomiędzy ludźmi: mieszać się z falami ich spraw i namiętności, a mimo-to unieść niezależność duchową osobistości swojej — to tryumf i godność naszej szlachetnej utrzymania, bo do najpierwszych obowiązków człowieka zalicza się ta kontrola nad sobą samym, która nie pozwała, abyśmy bezwiednie i bezmyślnie ulegali wpływom zewnętrznym — abyśmy bezwiednie i bezmyślnie przetwarzali istotę naszą wewnętrzną. Trzeba ją czasem łamać, gdy jest zbyt samowolna i uparta—harda zanadto; ale nie jest to jeszcze nieszczęście, zwłaszcza dla tego, kto się umie ująć silnie—umie panować nad ja swoim. Lubbock porównywa człowieka z naturą taką, zbyt niepodległą i zuchwale swobodną, do jeźdźca na dzielnym rumaku. Należy go dobrze okiełznać, należy siedzieć na nim mocno, ale wtedy rozkosz jazdy jest owiele wyższą i żywszą, niż gdyby to był człapak lichy, ledwie się wlokący pod nami. Nie potrzeba go klóć ostrogą, nie trzeba zaczynać biczem, ale zato trzeba nieraz ścisnąć mu boki kolanami i wędzidłem nieraz go do krwi ściągnąć. Lepiej to

przecież, rozkoszniej, gdy się czuje pod sobą jakąś istotę rwącą się samodzielnie naprzód, tryskającą ogniem i pożądaniem pełnego życia, niż wtedy, gdy trzeba ją klóć ostrogami—martwą i leniwą.

Rządzić sobą mocno, zwłaszcza przy temperamencie gorącym, przy żywotności silnej i dzielności uczuć namiętnych, jest rozkoszą. Znaczy to wtedy być dla samego siebie monarchą. Tacy ludzie mogą nosić głowę wysoko, ale wtedy tylko, jeżeli tryumf był zawsze po ich stronie. Człowiek wielkich obdarowań, wielkiego talentu, geniuszu, póty tylko jest dostojnym i nad innych wyniesionym, póki nie da się złamać namiętnościom natury swojej, bo wtedy jest to władca upadły, niegodzien czci i pokłonu.

Czuć w tych słowach Anglika, syna tej ojczyzny ludzi dumnych, którzy właśnie przez wielkie uwielbienie natur wyższych, nałożyli na nie prawa drakońsko surowe. „Noblesse oblige“!... powiadają oni wielkością swoim i dlatego Byron zostaje dotknięty t. m ostracyzmem, który przedstawia się przecież jako najwyższa część dla jego genialności, ale tym jedynie, którzy zapatrują się na te rzeczy ze stanowiska, na jakim stoi tu Lubbock. Że to nie przybija ducha, że nie są to więzy, które źle krepują, dowodzi nam życie, bo czyż Anglia, zwana krajem purytanów, stoi niżej od innych krajów pod względem myślicieli — ludzi swobodnych i szerokich poglądów?

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Października, 1889 r.

Zmiana frontu kronikarza — Kongres etnograficzny. — Otwarcie. — Generał Czeng-Ki-Tong i generał Légitime, ex prezydent Rzeczypospolitej Haiti. — Przemówienie Chińczyka, generała Czeng-Ki-Tonga. — Ciekawe szczegóły. — Wystawa bydła i koni. — Nasze polskie konie. — Premia otrzymane przez konie ks. Romana Sanguszki. — Wspomnienia Sławuty. — Generalne wybory do Izby Francuskiej deputowanych. — Opozycya i stronnicy rządu. — Afisze wyborcze i fizjognomia Paryża. — Wyznania wiary. — Dziwolągi polityczne. — Prognoza przyszłej Izby poselskiej — Igrzyska i festyny. — Jubileusz urzędowy i trzydniówka w Pałacu Przemysłowym. — Panna Holmès i jej „Oda tryumfalna“. — Inauguracja pomnika „Tryumf Rzeczypospolitej“. — Rozdanie publiczne nagród wystawcom. — Nowa książka: „Uczeń“, przez P. Bourget'a.

(Dokończenie).

Dwa główne stronnictwa: Opportuniści i Monarchiści, nazywający się najczęściej Reakeyonistami, złączeni ze zwolennikami Trzeciego jeszcze Cesarstwa, znajdują się znowu w dawnej liczbie, i w dawny ustroju, przy otwarciu nowej Izby poselskiej. W tej chwili bulanżerówka zjechała na drugi plan. Radykalni stracili kilkanaście krzeseł — a Opportuniści kilku z głównych przewodzców. Ale co nastąpi w Listopadzie, przy zebraniu się posłów w Izbie? tego nikt przewidzieć nie zdola. Przecież, oile można wnieść z tego, co tu się działo i dzieje, wątpić należy, aby ta nowa Izba zdobyła się na więcej umiarkowania, wyrozumiałości i politycznego zmysłu, niż jej poprzedniczka. Osobista zażartość stronnictw, okrutna nienawiść, jaka panuje pomiędzy Monarchistami i Bonapartystami z jednej, a republikanami umiarkowanymi (Opportunistami) z drugiej, wicherzenia Bulanżystów, którzy gotowi są iść choćby na noże — wszystko to nie rokuje nic dobrego. Będziemy więc świadkami — nowych wybryków, które przecież tak spodiły ostatnią Izbę, że tego użyję wyrażenia, bo ono samo tylko maluje wiernie to uczucie, które ogarnęło w ostatnich czasach najlepszą, najuczciwszą część narodu — i dojdziemy może do większych jeszcze zatargów i nadużyć, niż wszystkie dotychczasowe.

Ale nie chcę być złowieszczym ptakiem i przepowiadać klęski, które Bóg może raczy odwrócić od tej Francyi, mającej jeszcze w sobie taki zasób, energii i siły.

Tymczasem rząd, wierny starym tradycjom i temu łacińskiemu twierdzeniu, że lud zawsze i wszędzie lubi, aby mu nie żalowano *panem et circenses*, stanął gorliwie na akcesoryach. A że tu chleba nie brakuje nikomu, więc wszelkie swe usiłowania skierowano na „circenses“: igrzysk mieliśmy coniemiar. Teatra i teatryki, hippodromy i cyrki, walki byków i śpiewające ogrody. Na tem nie można było poprzestać — to są przedsięwzięcia prywatne — a rząd, pamiętny na jubileuszową rocznicę, chciał się pokazać gotowym, aby jej dodać blasku i rozgłosu jaknajwiększego.

Na ten koniec, w tym pałacu przemysłowym na Polach Elizejskich, urządzono widowisko, któremu trudno dać nazwisko. Nazwano to więc *Festynem narodowym*. Miasto Paryż, a raczej jego rada miejska postanowiła wyprawić trzydniówkę 11, 14 i 16 Września.

Nigdy jeszcze nie zbudowano sceny teatralnej tak olbrzymich rozmiarów. Festyn kosztował każdego dnia trzykroć stotysięcy franków — prawdziwie popańsku! Widowisko dane było *gratis*. Na wszystkich trzech przedstawieniach znajdowało się 60.000 — słyszcicie!? — *sześćdziesiąt tysięcy osób!* *Excusez du peu* — jak mawiał Rossini.

Trzy były przedstawienia: pierwsze 11 Września dla p. Carnot'a, wyższych urzędników i znakomitości cywilnych i wojskowych i dla prassy — tej potęgi, która świat dziś — jeśli nie trzyma w swych rękach, to przynajmniej kołysze; drugie, d. 14 Września, dla dzieci; trzecie dla czambułów ludowych.

Co do tytułu festynu, oto jaki nam podały afisze: *Clairina* (znany tu artysta malarz); *Tryumfalna Oda*, utwór Augusty Holmès. Panna ta — jest dziś czemś, jakby piastunką Rzeczypospolitej. Jej się należy pomysł całego festynu, jej są wiersze i muzyka.

Znajdujemy się więc w tej olbrzymiej, zaszklonej szopie Pól Elizejskich. Pełno jak w jajku. Podnosi się zasłona, raczej dwie zasłony. Dekoracye świetne, o tem z góry już ani wątpić. Widzimy olbrzymie proscenium podłużne, otwierające scenę ginącą gdzieś w głębi; po obu jej stronach ogromne drzwi.

Po podniesieniu zasłony scena jeszcze pusta. Patrzymy na olbrzymie wzgórce, pokryte zieloną darnią, które pochyłością swą dociera aż do krawędzi proscenium, a zamyka scenę w głębi. Dekoracya wyobraża większe miasta Francyi, i, naturalnie, Wieżę Eifla i sławny wawóz Wogezów. Na środku sceny wznosi się kolosalny ołtarz ojczyzny, na którym stoi Rzeczpospolita — uosabia ją, pani czy panna, Matylda Romi, kobieta olbrzymiego wzrostu mówiono, że ma sześć stóp wysokości, ale dla oka było ich ze dwadzieścia. Tak silnego głosu w życiu mojem nie słyszałem. Prawdziwie republikański fenomen.

Naraz zabrzmiała orkiestra, złożona z 300 muzykantów. Olbrzymia Walkirya intonuje *Odę do Rzeczypospolitej*, a w tej chwili przez dwoje drzwi pobocznych, wchodzi masa chóralna w ogólnej liczbie — 1.200 wykonawców. Nie! trudno sobie wystawić, kto tego nie słyszał. Co za hałas, harmider, co za wstrząśnienie nerwów i nienukniona przy takich massach, choćby krótkotrwała tylko, kakofonia!

Nakoniec chóry otaczają ołtarz i Rzeczpospolitą. Na przodzie sceny szykują się pracownicy świata całego — chłopci i niewiasty w strojach tegoczesnych, nad niemi wojsko.

W tyle za ołtarzem i Rzeczpospolitą, sięgając już górnego brzegu dekoracyi, wznosi się geniusz Francyi, zstępujący — jak opiewa program — *des régions éthérées*; obok, w kostiumach allegorycznych, nauki i sztuki.

U stóp ołtarza lwy wypchane, na których siedzą dzieci przebrane za amorków. Na scenie przechadzają się młodzi ludzie i dziewczęta, śpiewając pieśni miłosne.

Nagle gasną wszystkie światła i chwilę wszystko jest pogrążone w ciemności — ale trwa to kilka sekund zaledwie. W jednej chwili lampa elektryczna, ustawiona nad głową Rzeczypospoli-

tej, zapala się, i jasnym, ogromnym snopem promieni zalewa całą Francją, lud i wszystko, co wypełnia scenę. Zapalają się naraz wszystkie światła i sala gore w blasku jasności. Z całego przedstawienia ten jeden efekt światła był rzeczywiście wspaniałym.

To przedstawienie, jak czytelnicy moi mogli zrozumieć — było naśladowaniem starożytności greckiej, gdzie na olimpijskich igrzyskach wygłaszano z muzyką i mimiką Ody Pindara; ale jakże daleko jesteśmy od olimpijskich igrzysk! tak samo daleko, jak daleko odzie panny Holmès do ody Pindara Jej wiersze — jest to czysta deklamacja pochwał dla Rzeczypospolitej francuskiej.

Aby nic nie zapomnieć, co do igrzysk należy, co może zabawić gawieź, w przeddzień wyborów, to jest w Sobotę 21 Września, z wielką nagłością pracy i z wielkim kosztem, wzniesiono na placu tak zwanym „narodowym“, olbrzymią makietę pomnika, który ma wyobrażać: „Tryumf Rzeczypospolitej“. Patrząc na pośpiech rządu, można by pomyśleć, że ci ludzie, niepewni jutra, chcieli postawić coś dzisiaj, coby świadczyło, że są, żyją i panują — a nie mając gotowego jeszcze pomnika, postawili ten zlepek gipsowy i oddali mu cześć inauguracyjną, jakgdyby to miało być coś wieczystego. Przypomina to Nabuchodonozora na glinianych nogach!

Tam daleko, na końcu Paryża od Południa i Wschodu — tam, gdzie była niegdyś rogatka pod nazwiskiem „włoskiej“, w głębi przedmieścia Św. Antoniego, sławnej uwrierskiej dzielnicy — jest ogromny plac, ozdobiony dwiema kolumnami, noszący niegdyś nazwisko „Placu tronowego“, a dziś „Narodowego“.

Wpółśród tego placu urządzono ogromnych rozmiarów sadzawkę, z której wynurza się pomnik. Pomnik — jak mówiłem — z gipsu, a zapomocą zręcznych sztukatorów i malarzy, mający pozór grupy brązowej, istniejącej już od jakichś stu lat.

„Tryumf“ ten przedstawia się następnie: Na tryumfalnym wozie, ciągniętym przez dwa lwy, stoi Rzeczpospolita. Na lwie z prawej strony siedzi młody woźnica, trzymając w ręku pochodnię cywilizacji; trzy inne postacie, stwierdzające tryumf Rzeczypospolitej, otaczają wóz tryumfalny i popychają go naprzód; po prawej stronie stoi Uwrier z młotem na ramieniu, popychający koło; po lewej Sprawiedliwość łączy swe usiłowania, aby się wóz porządnie toczył naprzód, a z tyłu postępuje Pokój. Wśród tych kolosalnych postaci igrają malutkie geniusze, niosąc w swych rękach rozmaite atrybuta Rzeczypospolitej i otaczając wóz tryumfalny.

W Piątek d. 20 Września, to jest w przeddzień inauguracji, zwiedzając przygotowania ostatnie około tego pomnika, a raczej modelu pomnikowego z gipsu, — znalazłem go już skończonym; kolumny placu były już obwieszone różnokolorowymi sztandarami, kiedy sztukatorowie zapomocą dźwigni przyprawiali: ten nogę, ów kolosalne ramię, malarze tymczasem dawali ostatnie dotknięcia pędzla, naśladowujące kolor i połysk starożytnego brązu. Stolarze i cieśle przygotowywali pomosty, wyniosłości (estrady) dla delegacji urzędowych; ogrodnicy wyrównywali grunt wokoło sadzawki, otaczali ją kwieciami i krzewami, a blacharze i tak zwani plombierzy kończyli w sadzawce urządzenie przyrządów hydraulicznych.

Inauguracja nazajutrz odbyła się ze zwykłym przy podobnych obchodach ceremoniałem. Tłum ludu, który można lekko liczyć na jakie 40.000, napełnił plac, okoliczne ulice i otoczył grupę osób rządowych; mimo to, wszystko odbyło się porządnie z defiladą wojska i wezwanych dwudziestu kilku stowarzyszeń ludowych.

O godzinie drugiej przybył p. prezydent Carnot, zawsze *à la Daumont* i zanim zasiadł w oficjalnej łoży, gdzie już czekali nań wszyscy ministrowie — obszedł wokoło pomnik w towarzystwie jego twórcy rzeźbiarza p. Dalou, który mu udzielił wszelkich potrzebnych objaśnień.

Przyjęty okrzykami: „Niech żyje Carnot... niech żyje Rzeczpospolita! niech żyje Francja! niech żyje wojsko!“ prezydent zasiada swe miejsce, a muzyka gwardii republikańskiej odegrywa nie-

zbędną marsyliankę. Z ostatnim dźwiękiem zabiera głos p. Doktor Chautemps, prezes rady miejskiej, dziękuje prezydentowi, że obecnością swoją uczcił pomnik, który miasto Paryż wzniosło Rzeczypospolitej, oddaje pochwałę artyście snycerzowi za jego *wiekopomne* (!) dzieło i kończy temi słowy:

„Francja, panowie, dzięki Rzeczypospolitej, stała się potężniejszą, niż kiedy, i zyskała sobie szacunek i przyjaźń wszystkich narodów. Niech żyje Rzeczpospolita“.

Po nim przemówił p. Tirard, prezes rady ministrów; poczem p. Carnot ozdobił krzyżem oficerskim legii honorowej pierś p. Dalou snycerza, a palmami akademickimi p. Renaud'a architekta. O godzinie 3-iej koniec obchodu, defilada wojska i odjazd p. Carnota wśród równie brzmiących okrzyków, jak pierwej.

Zakończeniem tych obchodów było rozdanie publicznie nagród wystawcom — jak się o tem wyraziły dzienniki wszelkiej barwy. Ceremonia ta 29 Września, była najwspanialszą — słowem: tą która się najlepiej udała ze wszystkich festynów wystawy. „To zebranie — powiadają daiej — całego wyboru inteligencji handlowej i przemysłowej nie tylko Paryża, Francji, Europy, ale świata całego, pod olbrzymią kopułą pałacu przemysłowego, świetnie przybranego, przedstawiało wspaniały i nakazujący widok. Było to godne uwieńczenie wielkiego konkursu, z którego Francja ma prawo być dumną.“

Nie będę opisywał szczegółów obchodu, bo braknie mi miejsca, i zresztą, byłoby to powtórzeniem tego, co się już na innym powiedziało miejscu. P. prezydent zawsze *à la Daumont*, przyjechał o godzinie 2, muzyka grała marsze St Saënsa i Verdiego z „Macbetha“. Uwieńczeni wystawce ze sztandarami narodowymi defilowali przed p. Carnotem w zachwycającym porządku. Ale powiedzmy, że p. dyrektor obchodów, Alfand, jako prawdziwie doświadczony reżyser, w przeddzień wezwał tychże wystawców dla wykonania w tymże pałacu generalnej próby tej sławnej defilady; poczem p. Carnot odczytał długą przemowę, a po nim znowu muzyka, mowa p. prezesa ministrów, jeszcze muzyka i odczytanie przez dyrektora wystawy urzędowej listy rozdanych nagród. Nie wyliczam tu nawet naszych wystawców, bo już oddawna dzienniki tutejsze i wasze ogłosiły ich nazwiska. Wielu zostało bardzo uszczęśliwionych, niektórzy odeszli z zawiedzioną nadzieją. Nagrody orderowe odłożono na później, bo formalności nie są dopełnione jeszcze ostatecznie.

Odjazd p. Carnota nastąpił jak przybycie: przy odgłosie marsylianki i przy ciągłych i grzmiących okrzykach: „Niech żyje Carnot! niech żyje Francja“!...

Teraz słówko jeszcze o literaturze. *Rara avis!* Nie zapomnieliście zapewne jeszcze o sprawie młodego Chambige'a, o której tyle mówiono rok temu. Śmierć zagadkowa pani Grille, w ustronnej i samotnej willi Sidi-Mabruk, na przedmieściu Konstantyny (w Algeryi); zmyślone samobójstwo młodego Chambige'a, potępienie i t. d. o tem wszystkim zdawałem wam sprawę w swoim czasie. Dzienniki dopełniły reszty szczegółów tego pełnego moralnej grozy wypadku. Nie wracałbym więc dziś do tej kwestyi, gdyby nie nowa książka, której przedmiot autor zaczerpnął właśnie z tej kryminalnej sprawy.

Otóż wyszła tu na świat nowa powieść, znane go wam francuskiego pisarza p. Bourget'a pod tytułem: „Uczeń“ (*Le Disciple*). Powieść ta, może to niezbyt właściwa charakterystyka tej książki, bo jest to raczej psychologiczne studium, zamknięte w ramach tendencyjnej powieści. Jest to przytem protest przeciw dążnościom literackim, tak dziś tu modnym, aby rozlewać po świecie jaknajbrudniejszy, tak zwany realizm, a odrzucać wszelką, nie tylko idealną, ale nawet czysto-duchową dążność w dziełach belletrystyki. Autor chciał pokazać jasno niebezpieczeństwo tej doktryny, iż w literaturze i w życiu należy wszystko opierać na tak zwanych naukowych zasadach, gdyż prawdziwą pobudką ku temu jest jedynie własny interes i własny pożytek, a go-

dłem: „dobrze zrozumiane miłosierdzie, zaczyna się od zaopatrzenia samego siebie“.

Ma się rozumieć, że p. Bourget zmienił w swej powieści całe *scenarium* rzeczywistego dramatu, przecież główne skrety rusztowania są te same. Młody Chambige zowie się Robert Greslou i jest bohaterem powieści — „ucznem“. Jego ofiara nazywa się panna Karolina de Jussat-Randon; przy młodszym jej bracie właśnie nauczycielem jest Greslou; reszta jak w prawdziwym dramacie: experimentacja miłosnego wpływu na kobietę, zaczyna się zapomocą literatury rozkładowej i książek demoralizujących, a kończy się samobójstwem ofiary.

Nową sprężyną dramatu w powieści jest wprowadzenie na scenę nie jakichś bezimiennych powag naukowych i niewidomego środka demoralizacji, ale uosobienie go w uczonym i głębokim filozofie, nazwiskiem „Syxtus“ — figura, z której p. Bourget zrobił pewien rodzaj starożytnego filozofa, szerzącego z anielskim uśmiechem śmiertelną zarazę. Ten wynalazek autora grzeszy właśnie niepotrzebnem tu zmyśleniem i stanowi słabą stronę tego utworu, jako krzyczącą sprzeczność, zresztą wziętą żywcem z natury. Ale dając za tytuł „uczeń“, potrzeba było pokazać mistrza, i ztąd więc *Deus ex machina*, niepotrzebny wcale; bo lepiej było pokazać źródło, gdzie się rzeczywiście znajduje, to jest: w całości tego wszechstronnego nauczania, którego mistrzami jest cały legion nowożytnych filozofów — bez Boga i pana — naturalistów czy pozytywistów, za którymi w ślad idzie cała armia francuzkich powieściopisarzy.

Koniec powieści przypomina ten szczegół z dramatu Chambige'a, gdy mąż nieszczęśliwej ofiary składa to wyznanie tak naturalne, że w pierwszej chwili chciał jak psa zabić tego nędznika. To też Bourget daje to posłannictwo bratu Karoliny, który z pistoletu i bez pojedynku zabija młodego Greslou.

Ani to nauczająca, ani na polecenie zasługująca książka. Zdaję wam krótko z niej sprawę, bo w tej posusze literackiej, w jakim żyjemy, zapewne z powodu wystawy, studium to miało tutaj wielki rozgłos i wielkie powodzenie. P. Bourget, jak wiecie, jest jednym z najzdolniejszych pisarzy nowego pokładu. Nietyle rzecz może sama, ile styl pisarza każdą jego książkę czyni tu upragnioną nowością. Nie mogłem więc zamilczeć, a że nie daję wam analizy szczegółowej, zechcecie zrozumieć, iż czynię to dlatego, że.. nie jest to rzecz ani budująca, ani użyteczna dla naszej publiczności.

P. S. Spotkałem w „Kuryerze warszawskim“ następującą wiadomość:

„Przed kilkunastu dniami powtórzyliśmy doniesienie „Kuryera codziennego“ o ślubie p. Władysława Mierzwińskiego z panną Bergmannówną z Warszawy, który miał odbyć się niedawno w Londynie. Tymczasem „król tenorów“ jest już żonatym od półtora roku i brał ślub w Nizy, a obecnie posiadać ma już nawet siedmiomiesięcznego następcę swego tenorowego tronu“.

Tymczasem d. 5 b. m. Września w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Panny, w obecności małego kółka przyjaciół — ów *król tenorów* wziął rzeczywiście ślub z panną Bergman. Sakramentu udzielił O. W. Witkowski, przełożony missyi polskiej. Piszący był przypadkiem obecnym na ceremonii, — a więc twierdzi jako naoczny świadek.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Sztuka być zdrowym.

Prof. Mantegazza.

(Dalszy ciąg).

Wskazówkę zmian głębszych, których niedojrzy niespecjalista, dać mogą dopiero badania mikroskopowe i analizy chemiczne.

Stopień odporności naszych organów na wpływy szkodliwe służyć może za kryterium, do jakich chorób przedstawiają one skłonność. Przepuścimy, że dwanaście osób obiadowało przy wspólnym stole. Obfity obiad okazał się niezdrowym, i tak ryba była nieświeża, a sos zbyt tłusty. Nazajutrz wszyscy się rozchorowali, jeden zapadł na niestrawność, drugi na pokrzywkę, trzeci na gorączkę, czwarty na ból głowy i t. p., a jeden tylko, dajmy na to: Jan, pozostał przy zdrowiu. Kiedy indziej pewne kółko myśliwych zaskoczył deszcz ulewny, przyczem wszyscy byli zmęczeni chodzeniem. Nazajutrz pokazuje się, że jeden dostał zapalenia oskrzeli, drugi reumatyzmu stawowego, trzeci mięśniowego, czwarty migreny, inny znowu zapalenia gardła, kataru żołądka i t. p., a tylko jeden ów Jan znowu pozostał zdrowym.

Wszakże przyczyny zewnętrzne były dla wszystkich uczestników obiadu i polowania jednakowe, a pomimo to wpływ ich tak się okazał różnorodnym, a to dla tego, że u każdego odporność na wpływy szkodliwe była różną.

Gdy jaki organ przy pewnych szkodliwych wpływach podlega zawsze zaburzeniom, natenczas wypada go uważać za piętę *achillesową*.

Dotykam tego przedmiotu — mówi Mantegazza — tylko powierzchownie, kilku wyrazami, a wypadaloby napisać całą książkę, sądzę jednakże, że rzuczone ziarno wyrosnie w dojrzałą roślinę, w rękach ogrodników młodszych i lepiej odemnie obeznanych z przedmiotem omawianym. Wspomnę tylko, że miałem okazję obserwować ludzi, u których wszelkie cierpienie moralne sprowadzało zaburzenia w trawieniu, a innych, u których ta sama przyczyna powodowała krwioplucie. Przytaczam tu tylko ten jeden fakt, lecz proszę sobie wyobrazić, jak wielka jest różnica między temi dwoma cierpieniami, jakkolwiek przyczyna je powodująca jest tażsama.

Należy zatem badać swój stan zdrowia, robić to samemu, albo jeszcze lepiej przy pomocy lekarza. „Jedynie wówczas gdy potrafimy we wnętrzu swego jestestwa wypisać słowa: „znam siebie samego,“ jedynie wówczas — powiada Mantegazza — będziemy dostatecznie uzbrojeni do walki z chorobą, z temi robakami, które nam zaturują rozkosz życia, chmurzą tyle godzin szczęścia i gaszą tyle źródeł życia.

Prześlicznie powiedziane!

W dalszym ciągu swej ze wszech miar zajmującej pracy zastanawia się autor nad tak dziś rozpowszechnionymi suchotami płucnymi. Obecne pokolenie — mówi M. — które czuje się już zmęczonym, zanim zaczęło pracować, przyjmujące wszystko z niedowierzaniem przed zakosztowaniem jeszcze rozkoszy prawdy, nie dlatego, żeby nie lubiło poezji, lecz prosto z tej przyczyny, że jej nie umie ocenić, pokolenie nasze, pragnące uchodzić za realne, nie mając pojęcia o rzeczach pozytywnych, nie dążące do ideałów dlatego, że jest zbyt słabem fizycznie i moralnie, aby ich osiągnąć, to tedy hysteryczne nasze pokolenie przesyczone wadami bez namietności i zwątpieniem bez żadnej podstawy, stworzone jedynie po to, aby stanowić przejście od jednej wielkiej epoki do drugiej, posiada oprócz wielu innych zepsutych gustów, słabość do wyprowadzania na scenę i w powieściach suchotników, otaczając kaszel i spluwaczkę blaskiem fałszywej poezji.

W świecie miłości ożywia się ono tylko *eterem*, w świecie cierpienia katarzem!

Rozumie się, że w obłędzie tym mieści się cząstka prawdy, której trudno się oprzeć. Czyż suchoty bowiem z ich chudością, pobudzeniem nerwowem, przezroczywością młodych dziewczyn, suchoty z ich niestającym kaszlem, niszczącym ciałem, lecz pozostawiającym ducha w całej mocy do ostatniej minuty — czyż wszystko to nie może rozniecić płomienia miłości i nie dać dramaturgowi i powieściopisarzowi pola do „motywów?“ Lecz to jeszcze nie wszystko — woła autor — suchoty tak się między nami rozpowszechniły, że prawie każdy z pisarzy ma okazję obserwować je w rodzinie lub między przyjaciółmi, a nasycony bólem i goryczą osobistą, czyż nie najlepiej potrafi obudzić w swych czytelnikach współczucie dla ofiary cierpienia? Gdyby zarówno na scenie

jaki w książkach rzadziej przychodziło spotykać się z suchotnikami, to na tem niktby nie ucierpiał. Ważniejszą jednakże daleko jest rzeczą, aby ich tak często nie spotykać w życiu. Na nieszczęście, suchoty płucne w miastach rozwieleniają się coraz bardziej, tak, że dziś posiadają niejako charakter epidemii chronicznej, niszczącej sam kwiat naszej młodzieży i szerzącej w rodzinach spustoszenie i rozpacz.

W dalszym ciągu swej pracy zastanawia się autor nad danemi statystycznymi, które wykazują, że na każde 1000 śmiertelnych wypadków w miastach, przypada od 86 do 260 na suchoty płucne.

Następnie bada przyczyny omawianej choroby.

Główna przyczyna mieści się, według Mantegazy, w tem, że nasze modne, wygodnie urządzone życie, sprawiło, że tak nazwany człowiek ucivilizowany doznaje nieustannego braku świeżego powietrza w dostatecznej ilości. Bo proszę się przyjrzyć mieszkańcowi wsi. On z pewnością niemniej pracuje od mieszczucha, np. od introligatora (tych umiera około 42% na suchoty), pożywienie ma gorsze od niego, a pomimo to przeciętno śmiertelność na suchoty po wsiach dosięga zaledwie 6%, gdy w miastach 50%.

Nie jest to jednakże jedyna przyczyna. Bardzo ważną rolę odgrywają związki małżeńskie między suchotnikami, a także fałszywy pogląd na suchoty, jako na chorobę niezaraźliwą.

W Starożytności gdy umierał suchotnik, palili jego pościel i odzież, wietrzyli i oczyszczali pokój, w którym przebywał, a przy leczeniu zachowywali możliwe ostrożności, tak jakby mieli do czynienia z ospą albo dżumą. Tymczasem doniedawna wielu uważało suchoty za chorobę niezaraźliwą, gdy w rzeczywistości jest ona w wysokim stopniu udzielająca się.

Widzimy z tego, że nauka często cofa się, gdy nie została w swoim czasie dostatecznie rozjaśniona przez naszych poprzedników.

Suchoty bezwątpienia są nie tylko chorobą dziedziczną ale i zaraźliwą. Dokazały tego liczne doświadczenia, robione na zwierzętach, którym wszczepiono gruźelki, albo dawano do wdychania powietrze przesycone wydzieliną z płuc suchotników. Dzięki nowym odkryciom na polu bakteriologii poznaliśmy przyczynę zaraźliwości: lasecznika suchotniczego, odkrytego przez Kocha w płucach osób dotkniętych suchotami. Lasecznik może się unosić wraz z kurzem w powietrzu, dostawać się w płuca osób zdrowych i tam szerzyć zniszczenie. Na szczęście, miła ta istotka nie we wszystkich płucach znajduje odpowiedni grunt dla swego rozwoju, w przeciwnym bowiem razie wszyscy byśmy na suchoty chorowali. Kto wie — mówi Mantegazza — ile połknęłam laseczników w mojem życiu, ja, piszący te słowa i wy którzy je czytacie?

Skutkiem tego należy skrupulatnie badać ludzi czy nie znajdują się w ich organizmie warunki sprzyjające rozwojowi laseczników i w razie gdy je znalezione, sprwadzić w ustroju tego rodzaju zmiany, któreby go uczyniły złym gruntem dla mikroskopijnych rozbójników.

Nie jest to tak trudne zadanie, jak się z pozoru może wydawać, a że tak jest w samej rzeczy dowodzi fakt, iż lekarze, pomimo, że pozostają w bezustannem zetknięciu z osobami choremi na suchoty, nieczęsto zarażają się tą chorobą.

Najłatwiej dostać mogą suchot płucnych dzieci i wnuki, jako też bracia i siostry osób dotkniętych tą chorobą.

Zauważono przytem, że chłopcy dziedziczą ją częściej po matce, a dziewczęta po ojcu.

Bywa często tak, że z babki choroba przechodzi na córkę syna, a z dziadka na syna córki.

Według zdania uczonych dziecko bardzo rzadko przechodzi na świat z zarodkami suchot; ma to miejsce w wyjątkowych razach: gdy ojciec i matka są niemi dotknięci. Często zato rodzą się z usposobieniem do zachorowań, które przy łada przyczynie mogą przyjsć do skutku. Należy jednakże pamiętać o tem, że suchoty niezawsze są dziedziczne, że szczęśliwe warunki klimatyczne, właściwe wychowanie fizyczne i umysłowe mogą w zupełności zniścić ich dziedziczność, tak, że matka umierająca na suchoty może mieć nadzieję,

iż osierocone dzieci niekopiecznie zapadną na chorobę, która jej przedwcześnie grób otworzyła. Bywa i tak, że czasami dzieci rodziców zupełnie zdrowych umierają jedno po drugim na suchoty; podobne niewytlómaczone wypadki wydarzają się w rodzinach gdzie jest po 12. 15 a nawet po 20 dzieci.

Już starożytni lekarze wyróżniali wygląd suchotniczy (*habitus phthisicus*); według autora wiele było karykaturalnych opisów w tym względzie. Maggiorani powiada, że nadczołość zmysłów, łatwa pobudzalność czynności organów oddychania i krążenia krwi, obrzęk gruczołów szyjowych i główek stawowych kości, są oznakami przedzspozycy do suchot płucowych. Do tego dodaje Mantegazza:

Słabe, wydłużone i źle odżywiane ciało, długa szyja, przezroczysta i prawie bezkrwista skóra; błądność twarzy z czerwonymi plamami na policzkach, zarumienianie się i błednienie bez żadnej przyczyny;

wązka, płaska lub wadliwie rozwinięta klatka piersiowa;

łatwość unoszenia się i wielka wrażliwość; trudność wstępowania na miejsca wysoko położone lub schody, silne kołatanie serca; trudność w oddychaniu przy najmniejszych wysiłkach fizycznych;

ochryply głos i urywana mowa. łatwość zaziębienia się, skłonność do kaszlu, katarów i zapaleń przewodów powietrznych.

Sledźcie te objawy, a gdy je dostrzeżecie, a zwłaszcza gdy dołączy się do nich kaszel letnią porą, z wydzielaniem krwawej płwociny — nie zwlekajcie dłużej — woła Mantegazza — z wezwaniem lekarza aby zażegnał burzę, która się zbiera na horyzoncie.

Przypuścimy teraz, że mamy do czynienia z dzieckiem, któremu w spadku po rodzicach, grozi straszny lasecznik Kocha.

Pytanie: co należy wówczas robić?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Ś. p. Aniela z Dzierżanowskich Zawidzka, właścicielka ziemiska z Płockiego, zapisała wolą swą ostatnią 7.500 rs. na stypendya dla uczniów uniwersytetu warszawskiego, pochodzenia polskiego, religii rzymsko-katolickiej.

— Ś. p. Hortensya hr. Małachowska zapisała Warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynności na rzecz ochrony lub bieżących potrzeb Towarzystwa 2.000 rs.

— Szwalnia dla ubogich dziewcząt, utrzymywane przez Warsz. Towarzystwo Dobroczynności, są jedną z najpożyteczniejszych instytucji naszego miasta. Obecnie takż szwalnia gminy ewangelickiej, zaprowadziła u siebie z inicjatywy p. Karolowej Temlerowej nowość bardzo dobrze pomyślaną, a to, aby pewna liczba uczęszczających tam dziewcząt uczyła się gotować, uzdalniając się tym sposobem na kucharki, co im da w przyszłości pracę niezawodną. Nauki podjął się bezpłatnie p. Kosiński, kuchmistrz, właściciel restauracyi w Resursie Obywatelskiej.

— Filia warszawskiego Bazaru wyrobów kobiecych ma się wkrótce otworzyć w Łodzi. Bazar podobny istnieje już w Ciechanowie. W „Kurjerze Warszawskim“ podnosił się głos, radzący zakładanie podobnych bazarów po miastach prowincjonalnych, których mieszkanki, pracować potrzebujące, znajdowałyby robotę na miejscu i nie ściągaly się do Warszawy, gdzie można się obawiać przepełnienia w tym kierunku. Należy dodać, że jeżeli w miastach prowincjonalnych zarobek jest mniejszy, utrzymanie jest o wiele tańsze.

— W dwóch szkołach malowania dla kobiet: panny Szmurło i p. Wiesiołowski, jest 37 uczennic, z pomiędzy których dziewięć już występowało na wystawach sztuki stosowanej do przemysłu. Obecnie ma być otwarta szkoła trzecia.

— P. Karolina Bielozińska, obdarzona medalem złotym na wileńskiej wystawie gospodarstwa i przemysłu domowego, wydała pożyteczną książkę: „Nowa praktyczna gospodyni litewska“.

— Szkoła koronarska w Zakopanem liczy obecnie uczennic 60. Przełożoną jest zawsze p. Neuzilowa; oprócz tego szkoła posiada nauczycielkę, wyuczoną w Wiedniu wyrobu koronek wytwornych, i dwie jej pomocnice, rodem z Zakopanego, to jest miejscowe góralki.

— Baronowa Heydel, filantropka znana we Lwowie, zwłaszcza z dobroczynnego zajęcia się klassami pracującymi, umarła.

— Kobiety w Berlinie myślą u urzędzeniu takiej kobiecej kawiarni, jak w Monachium, która byłaby najpierw miejscem swobodnego odpoczynku i posilenia się dla kobiet pracujących poza domem, następnie punktem zbierania się ich dla załatwiania wspólnych interesów—gieldą kobiecą: rzecz bardzo praktyczna w wielkiem mieście. Zbierają się już w tem celu składki. Początkowo zakład miał się ograniczyć tylko do nauczycielek, ale myśl tę porzucono ze względu właśnie na interes kobiet oddających się temu zawodowi. Matki potrzebujące nauczycielek tu się z niemi spotykać i poznawać mogą, co usuwa kosztowne i często zawodne pośrednictwo kantorów stręczęń.

— W czasie wystawy paryzkiej zwracały na siebie uwagę żony i matki dorożkarzy, zbierające się na placach z rozmaitemi przedmiotami pożywienia dla tych mężów i synów, które przecież odbierały zarazem od nich pieniądze zarobione. Angielska autorka, M-rs Crawford, weszła raz z niemi w rozmowę, wyrażając zadziwienie swoje nad tym ich despotyzmem małżeńskim. Odebrała przecież odpowiedź, broniącą postępowania swego mniej więcej w tym sensie, że tak żona, jak matka jest obowiązana pomagać mężowi, czy synowi w życiu, a to jest właśnie pomoc największa, jeżeli staje się między słabością ludzką a pokusą do złego. Przytem powinnością matki jest dbałość o gniazdo rodzinne, o los dzieci, którem dała życie; powinna też bronić ich przed nędzą: przed brakami, wśród których nie mogłyby wyrosć zdrowo, ani nawet uczciwie, nie mając w ojcu przykładowo porządnego wiedzionego życia. Ta prosta, ale z rozumem poglądu na życie wypływająca, filozofia obowiązków kobiety zamężnej, zamknęła usta pisarce angielskiej i przyznaje ona, że słowa usłyszane utkwiły jej w myśli głęboko, przedstawiając nowy dla niej obowiązek kobiety w małżeństwie. Wedle nakazów natury i praw wszystkich narodów mężczyna powinien tu być siłą i kierunkiem, cóż przecież, jeżeli zasłabnie? Żonie dobrej należy wtedy być mu podporą ze względu nie tylko na wzajemne ich obojga szczęście, ale dla obowiązków, jakie rodzina—dzieci nakładają na oboje.

Według spostrzeżeń M-rs Crawford pracowitość Francuzek jest ogromną, ogromną jest ich oszczędność, praktyczność, która—wyjawszy sferę kobiet lekkomyślnych—panuje we wszystkich stanach. Widziała ona podczas wystawy kobietę przewożącą z bulwaru Montmartre aż do miejsca wystawy osoby zwiedzające ją, a odbywało się to w takim wózku, jakiego w Paryżu używają praczki do rozwożenia bielizny po domach. Kobieta ta zarabiała stale na życie, sprzedając dzienniki po ulicach; otóż sprze-

dawała je i teraz porankiem, od siódmej do dziewiątej godziny; lecz o dziesiątej była już na tem drugim stanowisku pracy, która przynosiła jej niekiedy po 30 franków na dzień, jakkolwiek kurs był po 7 centymów. M-rs Crawford rozmawiała z nią w początkach Lipca i wtedy wyrachowanie jej nadziei liczyło na 150 franków zarobku na czysto.

— Umarła w Londynie d. 3 Września Karolina Ashurst Biggs, redaktorka miesięcznika dla kobiet: „The Englishwomen's Review“, który prowadziła od 1870 roku aż po chwilę zgonu. Urodzona w 1840 r. w Anglii, w Leicester, chowała się do dziesięciu lat życia przy macierzyńskim swym dziadzie, Henryku Ashurst, adwokatcie i członku Izby Niższej, człowieku wyższego umysłu i w którego domu dziecko było otoczone najszlachetniejszymi wpływami. Choroba matki sprawiła, że rodzina wyjechała do Włoch (1851 r.) i dziewczka, której umysł rozwijał się bardzo żywo, ujrzała się wśród nowego dla niej świata ludzi i natury, gdzie przebywała lat kilka. Po powrocie do Anglii rodzice jej zamieszkali na wsi, w posiadłości Barden-Park i tu przebywała do 1867 r. tu straciła matkę i najstarsza córka w rodzinie mając jej miejsce, aż przeniesienie się w 1868 r. z ojcem do Londynu dało jej zetknięcie się z innemi jeszcze wrażeniami, otwierającą drogę do pełniejszego rozwoju jej uczuć i myśli, do szlachetniejszego ich skierowania.

Ojciec jej był człowiekiem wysoko wykształconym i otaczał się też towarzystwem wybornym ludzi niepospolitych. Emerson, Longfellow, Taylor, szlachetny patron wolności Murzynów, Llyod Garrison należeli do koła jego bliższych przyjaciół, bywali w jego domu. Młoda panna słuchała nieraz „co mądrzy ludzie radzą“; ale osobistością, która wywarła na nią wpływ największy—dała jej duchowi popchnięcie wyroczone był wielki Włoch—ideolog i entuzjasta, dusza ognista a razem tkliwa i poetyczna: Mazzini, którego poznała o wiosnie swego życia i którego pojęcia w umysł, uczucia brała w serce i któremu pragnęła-by była służyć jak uczeń mistrzowi. I służyła też, jak mogła, zagnanemu falą nieszczęścia na ziemię angielską, spisywała jego gorące improwizacje, przepisywała jego artykuły przeznaczone do „Timesa“ i innych dzienników, a oddawała się temu zajęciu tak gorąco, że poświęcała mu niemal cały ten czas, który mógłby być stać się dla młodej panny używaniem życia wesołem—być zabawą, nieś rozrywki takie, do których młodość ma prawo. Ludzie uważali to za miłość milczącą i w sercu ukrytą, lecz gdyby tak było nawet, czego ona sama nie wydała nigdy i niczem, nie byłoby to dla niej ujmą żadną, to uczucie ciche i czyste w tajemnicy trzymane,—wzajemności niewymagające,—nie samolubne, bo nie niskie-to istoty tak kochać mogą.

Podróżowała dużo: zwiedziła z ojcem Francją, Szwecją i Norwegią, Danią, ale wiek zaczął coraz więcej przygniatać ciężarem swoim tego ojca, i dobra córka, chcąc być dlań Antygona, zaprzestała odtąd tych wycieczek dalekich—przykuła się do jego starości, którą pielęgnowała z czułością. Przecież entuzjastka nie mogła pozostać na poświęconej pracy tylko dla rodziny własnej. Zajmowała się gorąco dobroczynnym nauczycielstwem: dawała lekcje w szkołach wieczornych, w klassach tak mężczyzn jak kobiet i w tej-to epoce obudziło się w niej zajęcie sprawą stanowiska kobiety wśród narodu—wśród społeczeństwa—kwestyą głosowania kobiety na wybory do parlamentu, którą interesowała się żywo aż do dni ostatka. Obywatelskie jej uczucie popychało ją do tego: pragnęła, aby kobieta

nie była istotą bierną wobec wielkiej sprawy kierunku dawanego rządowi Anglii.

Z początkiem 1870 r. objęła redakcyą „Przeglądu kobiet angielskich“, po miss Boucherett, której zdrowie nie pozwalało pracować dłużej na tem polu, i prowadziła go w duchu szlachetnie liberalnym aż do chwili zgonu, poświęcając go całkowicie kwestyom rozwoju umysłowości i pracy kobiecej, a duch jej podniosły przeprowadził ją bez skazy przez życie, które było tak czystem, że poeta Werner Snode wiersz napisany dla pośmiertnego uczczenia jej pamięci, zaczął od słów: — „A pearl ist lost from Honor's stainless crown!“ (Perła wypadła z niedotkniętej zmagą korony honoru).

A dodać trzeba, że zmarła była dobrą przyjaciółką naszą, i jest to jej siostra młodsza, ta Maud (Magdalena) Biggs, poetka, która tłumażyła na język angielski „Pana Tadeusza“. Rodzina jest katolicka, jak to wzmiankuje Helena Blackburn we wspomnieniu pośmiertnem, poświęconem pamięci zmarłej.

— D-r. Anna Bayer, Czeszka zamieszkała w Szwajcaryi, w Bernie, otrzymała wezwanie podpisane przez trzydziści towarzystw—spółek kobiecych Czech i Morawii,—aby wracała do kraju i jemu poświęciła usługi swoje, swoją wiedzę i pracę. Godziło-by się może naśladować rozumne Czeszki i wszystkich „nieobecnych“, którzy dla większej wygody i łatwości życia, dla większego zarobku, wynaradawiają się, wezwać tak do powrotu,—do zajęcia miejsca swego w kadrach pracujących ziomków.

— Cesarzowa Japońska, Haru-Ko, oddaje się z wielkiem przejęciem, z wielkiem poświęceniem miłosiernym instytucyom swego kraju, tym zwłaszcza, które przytulają ubogie dziecko, ubogą kobietę. Szpital kobiecy w Tokio jest szczególnie stałym przedmiotem jej troskliwości; cesarzowa studyowała wszystkie europejskie metody świadczenia miłosierdzia i przysłała do przekonania, że nie jest to jeszcze cnotą dobroczynności dawać pieniądze tylko, gdy się je posiada w obfitości—że trzeba tu dołożyć coś ofiary osobistej. Haru-Ko nie może dla wysokiej pozycyi swojej oddawać dobrym uczynom swojego czasu, przykładać do nich osobiste rękę, i postanowiła też składać do pewnej oddzielnej puszeki oszczędności, poczynione na osobistych swych zażyciach, prowadząc przytem najściślejszy rachunek, co na czem zostało pozyskanem dla ubogich. Są tam w rachunku tym *yen'y*, moneta znaczniejsza, są obok tego i drobne: *sen'y* i *ryn'y*. *Sen* odpowiada połowie angielskiego *penny* i zawiera w sobie dziesięć *ryn'ow*. Metoda ta jest może najdoskonalej kształcąca człowieka dobroczynnością, zwłaszcza przy ściśle prowadzonym protokule, na czem to—na jakich chęciach naszych oszczędziliśmy grosz, który sparł nędzę bliźniego. Gdyby przecież do tego dodać przy szczerej ze sobą spowiedzi, czegośmy nie oszczędzili, oszczędzić mogąc—cośmy dali na ofiarę zbytkom, marnotrawstwu, ukochaniu własnej naszej osoby, lub tym, których egoistycznie kochamy—to by był dopiero doskonały sposób spowiadania duszy swojej. W każdym razie Haru-Ko jest kobietą wyższych natchnień, porywów szlachetnych, a przytem wcale ładną osobką, jak świadczy jej podobizna w pismach angielskich.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall.

TREŚĆ: Pogawęda.—Adjutant króla jegomości, opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kepieński.—Słoneczne strony życia.—Nowiny Paryzkie.—Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Sztuka być zdrowym. Prof. Mantegazza.—Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall.—Przegląd mód.—25 wzorów, ubiorów robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Октября 1889 года.